

Jerzy Kędzierski



**opowieść  
mężczyzny  
który zarabia  
śpiąc**

Jerzy Kędzierski



opowieść  
mężczyzny  
który zarabia  
śpiąc

WYDAWNICTWO   
ROSEMARIA 

Jedziemy z Michałem do Plazy tramwajem o piętnastej, czyli ścisk na maksa. Michał opowiada o swoim bracie weterynarzu, który ma takie hobby, że od lat wszystkie obcinane paznokcie wrzuca do szklanki. Oczywiście Michał opowiada tembrem głosu dostosowanym do gabarytu tramwaju. Szklanka już w dwóch trzecich wypełniona, tłumaczy mnie i współciszącym się pasażerom. Paznokcie obcinane i włosy powinno się spalić, bo jak się tego nie zrobi, to po śmierci dusza ma przerypane, musi tułać się po świecie i zbierać paznokcie oraz włosy. Przerąbane zajęcie. Dlatego brat Michała już myśli o losach swej duszy po śmierci i od lat obcinane paznokcie wrzuca do szklanki. Podjąłem temat (ustawiwszy odpowiednio głos na masce) i zapytałem, czy brat od czasu do czasu przesypuje paznokcie do jakiegoś pudełka, gdy na przykład szklanka potrzebna, bo goście przyszli? Michał odpowiada tak, by wątku naszej rozmowy nie stracił ani motorniczy, ani młody pryszczaty, który na końcu tramwaju jedzie bez biletu. W nocnych autobusach Michał jest tym, który podaje ton do chóralnych śpiewów.

Dziś doroczne Święto Kasztana. Wspomnienie, jak kiedyś zwoływałem przyjaciół na zbieranie, rzucanie się kasztanami, a zakończenie święta gdzieś w pubie. Koniec, nie ma przyjaciół, przynajmniej takich. Zestarzeli się? Kasztany są. Dziś święto patrona mojej księgarni, świętego Hieronima. Lubię legendę z nim związaną: nawet lew potrzebuje pomocy człowieka, gdy cierń mu w łapę wejdzie. To był gość, jak wszyscy wielcy, przed trzydziestką nawet kijem nie tknął żadnej roboty. Kobieciarz. Po czterdziestce całe *Pismo Święte* z oryginału przełożył na łacinę. Zeszły mu na tym dwadzieścia dwa lata. Pewnie dałby radę szybciej, ale oko go bolało. Nawet na starość w Betlejem kobiety go utrzymywały i kupowały książki.

Po południu oprowadzałem wycieczkę, osiemnastolatki. Grzecznie słuchali, chłopcy jak dęby, zero problemów wychowawczych. Po Cytadeli zawiozłem ich do Starego Browaru.

Czytam Pamuka i zarywam moje obowiązki, bo to ciekawe, co robił narrator jako chłopak w Stambule. Wągorował z różnych powodów i tym sposobem *dochrapał się* Nobla. To książka o chłopcu, który chodzi po mieście.

Nuda, tylko Allegro idzie, nic więcej. Popiszę sobie.

Balet. Mój subiekt w czasach, gdy miałem księgarnię, mówił, że nieszczęście moje polega na tym, że świat wygląda inaczej, niż bym sobie tego życzył. Wtedy chwaliłem się na przekór i przyjmowałem zakłady, że nie, nieprawda, coś niecoś wiem o ludziach. Rzeczywiście, potrafiłem odgadnąć, która książka zainteresuje wchodzącego klienta, którą przegłędnie, do której zajrzy, przy której się zatrzyma, a którą zakupi. I czy robi to emocjonalnie, czy z ekonomicznym namysłem. Dziś sprzedaję książki na Allegro. O moich klientach nie wiem nic. Czasami dziwię się, gdy na przykład ktoś o nicku „topless” zamawia tytuł: św. Katarzyna ze Sieny, *Dialog o Bożej Opatrzności*. Albo na tak zwany odbiór osobisty po książkę Radosława Okulicza-Kozaryna *Mała historia dandyzmu* przychodzi zarośnięty drab w trekkingowych butach i kurtce typu campus. Ale zostawmy to, miałem zamiar pisać o balecie, a wstęp był mi potrzebny dla efektu, że coś wygląda inaczej, niż byśmy się spodziewali. Dziwić się tak, ale nie czynić z tego nieszczęścia. Wracam do baletu.

Na ogół zgadzamy się, że balet to luksus. Sztuka piękna i wzniosła, przynajmniej tak opowiadam wycieczkom na ulicy Gołębiej. Zwłaszcza dzieciom z mniejszych miejscowości pokazuję Szkołę Baletową i barokowy dziedziniec.

Mówię, że to moja ulubiona ulica w Poznaniu, bo gdy tędy przechodzę, nawet gdy pada deszcz, jest zimno i smutno, to tutaj często słycać muzykę bądź akompaniament fortepianu, a także komendy: raz, i raz, i raz... Cieszę się, że są ludzie, którzy mają możliwość oddać ciało i – jak myślę – część duszy dla czegoś tak ulotnego i *mięsnego* zarazem jak balet. Kiedy wyczuwam, że grupa mnie polubiła i jest chętna do śmiechu, robię na ulicy figury, które nazwijmy piruetami. Najczęściej wycieczce podoba się. Śmieją się i dzieci niekiedy, właściwie najczęściej, naśladują mnie. Wtedy jest bardzo dobrze i wesoło, i o to chodzi. Idziemy dalej w kierunku posążków koziołków do zdjęcia i na opowiadanie legend.

Stać mnie na luksus. Wykupiłem karnet na Teraz Twój Taniec. Można było opłacić tylko jedną lekcję, zobaczyć, czy się spodoba. Nie, ja od razu kupiłem karnet na dziesięć zajęć. Co do stroju, dowiedziałem się, że nie trzeba mieć krótkich spodenek, dzinsy odpadają. Spodnie muszą być miękkie.

Przyszedłem, tak jak powiedziano, piętnaście minut wcześniej. Miła pani wskazała pokój, mówiąc, że niestety, nie mają oddzielnej szatni dla mężczyzn i muszę skorzystać z garderoby tancerzy, którzy akurat są na próbie. Otworzyła właściwe drzwi. Światło było zapalone, choć w środku nikogo. Pomieszczenie nie przypominało szatni. Pokój z wykładziną, pośrodku ławka do wyciskania sztan-gi i stojący wieszak. Wszędzie, ale to wszędzie, porozkładane części ubrań, młodzieżowych. Ale co to były za ubrania! Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Buty, buciki rozchodzone, pumy z wyciągniętymi wkładkami jak jęzo-

ry zziajane, czarne najki, jakieś wymyślne za kostkę, wzór średniowieczny, wszędzie skarpety. Nawet na biurkach połączonych z lustrami. Majtki we wszystkich kolorach tęczy. Jejku... pomyślałem, rozbierając się, gdzie oni to wszystko kupują? Majtki błękitne z pomarańczową gumką, a w kroku ultramaryna. Tu jakieś z szeroką białą gumą w pasie, ale reszta czarna wytłaczana... nie umiem tego nazwać, zatrzymałem się na rozróżnieniu bokserek od stringów. Przy niektórych lustrach perfumy, modelowane flakony. Dostrzegłem, że jedno z majtek przykrywają książkę. Wziąłem je w dwa palce... Oriana Fallaci, *List do nienarodzonego dziecka*. Przypomniało mi się, że Stanisław prosił, abym tę książkę załatwił dla jego żony, która z tekstów Fallaci przygotowuje monodram. Zmieniłem dzinsy na stare sztruksy, bo miękkie, koszulka i idę tam, gdzie kazała pani.

No nie, chyba się pomyliłem. Na sali same dziewczyny, lat kilkanaście, stoją przy drążkach, rozciągają się, nogi podnoszą do sufitu. Nie! Gdzie tu przyszedłeś fajtłapo, myślę sobie. Wycofuję się, idę do pani i mówię, że pomyliłem się, tu nie ma żadnego faceta. I co z tego, mówi pani, zapraszam, ale buty proszę zdjąć. Nie ma problemu, mówię, ściągam buty i wchodzę na salę. I... jak zawsze na wszelkiego rodzaju kursach zajmowałem pierwszą lub drugą ławkę, żeby wszystko dobrze słyszeć i widzieć, tak teraz szybciotko udałem się daleko, daleko, daleko, w rząd ostatni.

Zaczęły się zajęcia. Muzyka relaksująca, delikatne chodzenie w miejscu, palce, pięty, palce, pięty. Dam radę, myślę sobie. Trochę tu rozciągamy, trochę tam. Dziewczyny

słuchają, co mówi pani, wszyscy robimy to, co pokazuje. Każda zajęta ćwiczeniami, nikt na nikogo się nie gapi. Każdy pracuje na siebie. Spoko primabaleriny. Później było trochę gorzej. Ze wszystkim nie nadążałem. Nie tak łatwo ruszać nogami i rękami jednocześnie. Dziewczyny też niezbyt gibkie i pojętne. Podejrzałem, że niektóre partie ciała (co za słownictwo) mam lepiej rozciągnięte niż dziewczęta. Zatem jestem na właściwym miejscu. To jest to, to jest luksus. Najbardziej dało mi popalić proste ćwiczenie *robak*, czyli chodzenie po podłodze na czterech, z tym że biodra nisko parkietu. Pozycja jak przy pompkach, tylko przekłada się ręce i nogi jedną przed drugą i tak po całej sali. To mnie zniszczyło. Tym bardziej że *robak* na pani kłaśnięcie przyspieszał. Na koniec wyciszenie, „strzepnięcie” mięśni i miłe wspólne oklaski.

Byście widzieli, jakim krokiem wracałem do garderoby. Aż się prosi, abym odszukał horacjański *List do Pizonów* lub – na skróty – *Słownik terminów literackich* i każdy palec mojej stopy jednej i drugiej nazwał pięknie acumenem. Przez godzinę i piętnaście minut każdy paluszek z osobna na to zasłużył. Pięta, toż to cała synekdocha. Moje biodra i (z szacunkiem) centrum. *Krąg po kręgu* wyprostowany wracałem do garderoby tancerzy. Mój krok to... tu trzeba coś po francusku napisać.

Znowu światło zapalone. W środku nikogo, choć wychodząc, zgasilem. Czy ci ludzie naprawdę muszą tak rozrzucać swoje rzeczy? Nie można położyć wszystkiego razem na kupce w jednym miejscu? Uważam, by nie deptać tego, co się wała pod nogami. Tylko kapeluszy



brakuje, fedor lub cylindrów, myślę sobie. Ściągam miękkie sztruksy.

Dopiero teraz zaczyna się moment, dla którego po długim czasie zabrałem się do notowania. Wiadomo, że piszę nie z powodu gimnastyki ani nie dlatego, że w garderobie tancerzy zobaczyłem majtki, których nazwać nie potrafię – marka Sloggi mnie zaciekaowała, sprawdzę w internecie. Gdy ściągałem spodnie, zupełnie jak w kiepskim bieżącym polskim serialu (w serialach z Peerelu tak banalna scena raczej by się nie trafiła), zaplątałem się w nogawki. Jedna nogawka już za kolanem, na jednej nodze, czy ścięgno puściło, czy jakieś miejsce, w którym ludzie mają mięśnie, tak czy owak walnąłem bardzo nieszczęśliwie całym ciałem, a właściwie łokciem o podłogę. Co za ból okropny od łokcia rozszedł się po całym ciele. Zawyłem cicho. Głośno chciałem wrzasnąć: niech ktoś mi pomoże! Kością łokcia uderzyłem w coś, co znajdowało się w bezmyślnie trzepniętych spodniach na środku pokoju. Jęczę... syczę... Ból (tu zajrzeć do książki *Neuropsychologia bólu*, Kostarczyk Ewa, PTPN, Poznań 2003, stron 141 i skompilować ze dwie linijki). Zaciskam zęby, łagodzę mimiką. Stymuluję płacz, którego nas oduczono. Boli bardzo. Rozcieram łokieć, jak kość może boleć?

Czy są sytuacje, w których wolno zajrzeć do cudzej kieszeni? Hemingway powiada, że pisanie nie jest zajęciem dla ludzi o czystych rękach. Skoro tak powiada... Zostawiam was, drodzy czytelnicy, z niewiadomą, czy włożyłem rękę do kieszeni cudzych spodni, by zobaczyć, o co tak boleśnie uraziłem łokieć, czy też przedmiot ten sam wypadł. Był to składający się z pięciu części

różaniec z dość dużym, jak na taki mały krzyżyk, metalowym Jezusem.

Minął rok.

Karnety upoważniające do dziesięciu zajęć kupowałem jeden za drugim. Od października do maja trzy razy w tygodniu. Nie opuściłem żadnych zajęć. Miła pani stała się Ulą. Jej choreografię *Ty i ja* przypominam sobie w ramach porannej modlitwy. Z tancerzami, których imiona z czasem poznałem, nie zbratałem się. Podziwiam ich i darzę szczerym szacunkiem. To charty z rodowodem. Ja raczej wielorasowy jestem. Lubię zajrzeć na nie swoje podwórko i strzyc uszami. Sloggi kupiłem na Gwarnej.

Aż żal, że nie mam do leczenia więcej zębów. Powaga. Takiego dentysty jeszcze nie spotkałem. Młodszy ode mnie, na każdy ząbek godzinkę przeznacza. Jak coś mu nie idzie, to gada do siebie, jak dziecko w piaskownicy. Chciałoby się napisać tekst, na przykład pod tytułem: *Czy z dentystą można być na ty?* Wysiadam z zielonego tramwaju, siłkę finiszuję, a dentysta w starej zielonej, zielonejszej niż mój tramwaj corsie na skrzyżowaniu siedzi, bo przed światłami w samochodzie się siedzi, nie stoi. Więc pomachałem mu i on mi pomachał. Taki gest amerykańsko-europejsko-azjatycko-afrykańsko-australijski jest w Polsce bardzo rzadki, ale wykonalny.

Idę sobie nie dalej jak wczoraj Bogu ucha winien na mój zielony tramwaj. Jedzie piętnastka. Z daleka widzę, że ma na *czole* wypisane KONFERENCJA SENIORALNA 60+. Znowu z moich podatków hemoroidy się pasą, za moje pieniądze, myślę sobie, ale jestem w błędzie. Piętnastka z KONFERENCJĄ zatrzymuje się na przystanku. Drzwi się wszystkie otwierają, wysiada Fred w cylindrze, szron we włosach, srebrny szal nonszalancko wokół szyi mu się wije i estradowym gestem na drzwi wskazując, mówi: Proszę Państwa, zapraszam! Przejazd za darmo! Właśnie

trwa występ naszych śpiewaczek! Przejazd ma na celu łamanie stereotypów związanych z wiekiem. Patrząc, a w środku rzeczywiście emerytki w korale, perły, kolczyki i trwałą ondulację przyozdobione śpiewają z kartkami w rękę. Fred dalej zaprasza, wszyscy na przystanku i w tramwaju śmieją się do siebie. Oczom nie wierzę, co za impreza karnawałowa pod koniec czerwca w tym ponurym pruskim mieście. Tramwaj oklejony plakatami treści PASJOM WIEK NIE PRZESZKADZA, a na plakatach damy, panie, babcie czytające coś w ogródkach przy plastikowych kubkach. Byłem umówiony na odbiór osobisty przed Browarem, więc potrzebowałem szóstkę lub trzy-nastkę i niestety nie wsiadłem.

Ciemno, zimno a jest czerwiec. Piętnaście stopni, wiatry i deszcze. To samo w sercu. Od rana czytam i myślę, że trzeba zostawić sprzedaż książek. Później w Bookareszcie czytam o bukinistach w Londynie, gdzie wiele pierwszych wydań Dickensa chodzi po kilkadziesiąt tysięcy złotych, w przeliczeniu. Tam ludzie kupują. U nas pierwszego, przedwojennego wydania z autografem Fiedlera Michał nie może sprzedać od pół roku za czterdzieści złotych. W Londynie książek jest mnóstwo, ludzie kupują i płacą tysiącami funtów. U nas książek nie ma, bo najcenniejsze księgozbiory najpierw Szwedzi, a potem Rosjanie za Katarzyny II wywieźli. Niemcy po Powstaniu spalili to, czego przed wojną nie zdeponowano w Kanadzie. Gorąco polecam lekturę książki na temat losów polskich księżnic i *białych kruków* na przestrzeni dziejów:

*Nad złoto droższe: skarby Biblioteki Narodowej*, praca zbiorowa. Wspaniale edytorsko wydana księga jest do kupienia pewnie tylko na Allegro. Dla bibliofilów i ludzi chcących uchodzić za humanistów – bezcenna.

Wieczorem po Pozku będę oprowadzał nauczycielki. Ktoś powiedział, że nauczyciel to powołanie, a nauczycielka to diagnoza. Moje nauczycielki będą mądre, już ja je zorkiestruję.

Sprzedam *Kroniki węgierskie i Kroniki czeskie* za siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć złotych. Biorąc pod uwagę, że kupiłem je w Budapeszcie za sześćset złotych (w przeliczeniu) i bujałem się z nimi półtora roku na Allegro, więc zarobiłem niewiele, czyli mniej niż na przykład na takim *Prawie rugijskim*, które kupiłem za pięć złotych, a sprzedałem za sto dziewięćdziesiąt, ale to wszystko żenada. Aha, to nie jest spekulacja, lecz licytacja. Klienci sami ustalają cenę. Ważne, że *Kroniki węgierskie i Kroniki czeskie*, wydane w Polsce w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, zostały (przez mnie) uratowane. Wróciły z Budapesztu do Polski, a jaka piękna pieczętka jest w książce! Może nawet sfragistyka jej nie zna. Gdyby Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego wiedział, jaką porządną robotę wykonują śmieciarze tacy jak ja. Zarabiam idealnie tyle, ile potrzebuję na wspólne śniadania z Łosiami Śniadaniowymi w mleczaku na piętrze na Podgórznej lub naleśnikarni na Fredry. Obiady jadam u pani Rosity na Wrocławskiej, kolacje w Browarze na ostatnim piętrze, gdzie jest papu na wagę od 19.30 – zniżka 25%, od 20.00 – zniżka 50%. Czasami jem kebab lub spaghetti na Gwarnej. Na Gwarnej, o różnej porze, kupuję w wąskich drzwiczkach ciepłe bułeczki z czekoladą lub z owocem albo z serem plus kawa na wynos. Zabie-

ram wtedy łakocie na ławkę do parku przed Operą. Lubię też dziewczynę, która jest przy kasie na rogu Fredry i Kościuszki, tam gdzie sprzedają mięsiwo na wagę w jednej cenie, ale rzadko tam zachodzę, bo jakieś tłuste to jedzenie. Na randki chodzę latem do KontenerArt nad Wartą, a zimą do Manekina na rogu Kwiatowej i Rybaki. Zarabiam na książki kupowane w Bookareszcie, Arsenale, Akwareli, Matrasie i w Księgarni Świętego Wojciecha. Najwięcej książek kupuję oczywiście na Allegro. Zarabiam na Kino Muza, Pływalnię Atlantis, siłkę, wakacje. Zarabiam na niesprawne polskie pociągi różnych spółek. Najwięcej kasy wypływa mi w karnawale i od tańczenia bynajmniej nie mam zakwasów.

Wczoraj do północy czytałem *Korespondencję 1934–1979. 45 lat przyjaźni* Henry Miller – Blaise Cendrars. Panowie dowiedzieli się o swoim istnieniu po czterdziestce i przez następne czterdzieści pięć lat pisali do siebie. Miller listy barokowe, Cendrars skape. Cendrars miał tylko jedną rękę, a trząsał na maszynie, że hej. Gdy ktoś chciał mu otworzyć wino, bo niby że ma jedną rękę, to wysyłał gościa na drzewo. Oj, dużo tam ciekawych spraw. Miller zaczął być pisarzem po czterdziestce, wcześniej ot, tak sobie łązikował. Dopiero w Paryżu się odblokował. Cendrars po sześćdziesiątce uwierzył w swoje pisarskie powołanie, wcześniej był wszędzie. Boksował jedną ręką, zobaczcie sobie jego foty w wyszukiwarce.

Przepiękna przedpremierowa *Jeszcze nie wieczór* Jacka Bławuta. Film mógłby według mnie dostać ze dwa Oscary,

a szuka dystrybutora w Polsce już trzy lata. Nowicki powiedział, że film wyświetlą cztery razy w kinie Murańów i będzie koniec, a gdy wystąpił w telewizji, to widziały go cztery miliony ludzi. Jan Nowicki zagrał na dziesięć procent swoich możliwości, a i tak eksplodował. Widownia czuła, że dziewięćdziesiąt procent siły talentu i umiejętności ma w zapasie, jakby co. Widzowie reagowali na aktorski kunszt, tudzież dialog. Momentami taka cisza w kinie, że porównać trudno, po prostu cisza – ars! Aktor ma siedemdziesiąt lat i myślę, że jest teraz sprawniejszy, niż był dwadzieścia lat temu. Film zrobiony z luzem, niczym towarzyskie przedsięwzięcie. Mają jeszcze sto godzin nakręconego materiału i, jak mówi Jacek Bławut, zmontują z tego paradokumentalny serialik. Pierwsza klasa. Starość jako kraina spełnionych marzeń. Przypomniała mi się rozmowa w saunie z osiemnastolatkiem, który, gdy mu powiedziałem, ile mam lat, powiedział: To najlepsze lata za sobą? Sam sobie zaprzeczył, przecież to właśnie jego rodzona babcia jest dla niego najlepszą kumpelą na świecie. Nikt go tak dobrze nie rozumie jak własna babcia.

W Arsenale nakupowałem książek do czytania. Piotr Staniewicz powiedział, że *Paw Masłowskiej* się wypawił i nie ma. Chcę iść na *Gomorrę* w ramach taniego czwartku w Muzie. Podobno kiepski film w porównaniu z książką, ale chcę. Chcę przeczytać *Gorzkie cytryny Cypru* Durrella, zaczyna się całkiem ciekawie. W drodze na siłkę w zielonym tramwaju czytam Cercasa *Prędkość światła*. Píše,



że ładne zdania są wrogiem, a nawet zaprzeczeniem dobrego pisarstwa. To jeszcze nic. Henry Miller pisze, że w pisaniu trzeba wyjść poza słowa. Jane Bowles całe życie miała mantrę: „Muszę pisać i nie mogę”. Truman Capote miał, że *umiejętność pisania na maszynie* (wtedy na maszynach pisali) *to tylko umiejętność pisania na maszynie, a nie pisanie*. Poza tym pisarze dysponują nie słowami, lecz przemyśleniami. „Latami, płacąc krwią, szlifują nie zdania, lecz myśl, która nie ze świata przychodzi” (Márai).

Wieczorem muszę odebrać szkaplerze na Wzgórzu Świętego Wojciecha. Wszyscyutkie na Allegro wyprzedalem. Szkaplerz to takie tasiemki z Jezusem i Maryją, które jak będziesz nosił, pełni tytuło czytelnika, to nie umrzesz byle jak. Potrzebne słowa.

Za tydzień będę towarzyszył Tacie w pociągu, w podróży do sanatorium. Gdy był młodszy, kilka razy zaproponował, żebyśmy razem, tylko my dwaj, pojechali na tydzień nad morze. Odrzucałem jego propozycje. Teraz pojedziemy. Nie na tydzień i nie *tylko my dwaj*. Cieszę się na myśl o bliskości Taty w wagonowym przedziale. Cieszę się na myśl – obym tego nie przegapił – że spojrzę na niego w chwili, gdy będzie patrzył na morze. Będę blisko i zobaczą. Wiem dokładnie, jak to będzie wyglądało, dlatego jadę. Zadzwoń do swojej żony, mojej Mamy, i powie: Cześć, jestem na miejscu, właśnie przywitaliśmy się z morzem. Jacek jest obok mnie.

Przypomniało mi się, jak czuję się w samolocie. Zawsze gdy jestem w samolocie, gdy samolot jeszcze stoi, ale

już rozgrzewa silniki, zaczynam się pocić. Pocę się na czole, pod pachami, poci mi się brzuch, sztywnieję, łapię się fotela, palcami z całej siły ściskam welur, naprężam się, piętami chcę przebić podłogę, bo wydaje mi się, że coś się stanie, że silniki przestaną działać zaraz po starcie, bo przecież słyszę, że jeden już źle pracuje, rżęzi wyraźnie. Boże, zaraz samolot wybuchnie, nikt nie przeżyje, zginę, umrę, a nie zostawiłem listu do Rodziców. Nie napisałem listu, który mogliby znaleźć w szufladzie, że ich kocham bardzo, że dziękuję im za życie, za wszystko dobro. A samolot startuje, leci i jak doleci, to ląduje. A list jak nie napisany, tak nie napisany.

Poznań, pierwsza noc w staronowym domu. Wyspałem się luksusowo. Nie wiem, czy najpierw się budzę i uśmiecham, czy najpierw się uśmiecham i dopiero budzę. Norwida słowa z pamięci jak hymn do jutrzni wypowiadam: *Są przecież miasta dla snu jednego zakładane – bywały wygrywane dla snu lub przegrywane bitwy – losy pojedynczych i arcywielkich postaci historycznych wielokrotnie od snu zależą. Z łóżka z dumą patrzę na pomalowane przeze mnie ściany i sufit. Oświetlenie w sypialni i pracowni mam idealne. Budzą mnie promienie słońca i ptactwo, jak w wiktoriańskiej powieści. Nawet świeżo wyprane zasłony mam z falbanami. W sypialni są trzy okna: od wschodu, południa i od północy. W pracowni też są trzy okna, od wschodu, południa i zachodu. O pracowni napiszę na pewno. Rembrandt powiedział, że nie musi podróżować, bo w swojej pracowni ma więcej tematów,*

niż malarz potrzebuje przez całe życie. Cella coelum est – szeptali niegdysiejsi mnisi – cela jest rajem. Mam nadzieję, że napiszę także o świętej Barbarze, która więziona przez ojca w wieży, zażądała wybicia trzeciego okna. Na wszystkich obrazach przedstawiających świętą Barbarę jeśli jest wieża, to zawsze dla uczczenia Trójcy Świętej musi mieć trzy okna. Muszę nauczyć się mieszkać w domu, który ma jedenaście pomieszczeń i schody. Oprócz tego są jeszcze olbrzymie piwnice i garaż. Na ogród nawet nie wychodzę, tak postanowiłem, trawy nie koszę, co mi tam. Gościom powiem: dom w środku ulicy, poznasz – nieskoszona trawa. Gdy zasiądę przy biurku, widzę wierzchołki drzew, które rosną w ogrodzie. Orzech pozdrawiam wzrokiem z pracowni, z sypialni lornetuję wierzchołki brzoź. Jeszcze nie wiem, które okna otwierać, są ich tu tysiące. W bloku miałem tylko dwa okna i otwierałem głównie lufcik. Pika komórka na stoliku obok łóżka. Przyszedł esemes od Julki.

Czytam *Księgę Jonasza* po czesku i porównuję z polskim tekstem *Biblii Tysiąclecia*, i z przekładem Wujka. Tekst po czesku jest bardziej konkretny, jasny, dosadny, treść najłatwiej przenieść na obraz. Chcę wpleść w *Opowieść mężczyzny, który zarabia, śpiąc* trzy cytaty z przygody Jonasza. Pierwszy cytat o tym, że Jonasz w czasie sztormu, burzy i nawałnicy po prostu zszedł pod pokład łodzi i *usnął twardym snem*. Można cytat dać na początku, ale nie bardzo lubię *motta*. Trzeba *twardy sen pod pokładem łodzi w czasie burzy*, gdy inni szaleją ze strachu, wpleść w tekst. Może dodać też opowieść o Wiktorze, małym synku Karola, który w „trudnych sytuacjach domowych”

po prostu uciekał, zapadał się w sen. Podobnie Napoleon uważał, że są sytuacje, w których najlepsze, co możemy uczynić, to położyć się spać. Mówił to człowiek czynu, o inteligencji 180 IQ. Nawiasem mówiąc, Napoleon spał cztery godziny na dobę i był ostatnim człowiekiem, o którym można by powiedzieć, że był ospały. Drugi cytat z *Księgi Jonasza*, który chcę przemycić, to fragment o tym, jak Jonasz wybrał górkę za miastem, poszedł tam, usiadł w cieniu, by patrzeć na to, co się w mieście będzie działo. Książkę pewnie zakończę tak, jak kończy się *Księga Jonasza*. Pan Bóg uratował ludzi w Niniwie, mimo że zachowywali się bezmyślnie, jakby „nie odróżniali swej prawej ręki od lewej”. Po słowach Jonasza mieszkańcy Niniwy „opamiętali się i odwrócili od złego”. Czy Jonasz jest jedynym prorokiem w dziejach, którego posłuchano, aby Bóg mógł okazać miłosierdzie? Razem z ludźmi Bóg uratował mnóstwo zwierząt, jak chcą polscy tłumacze. Czesi są bardziej konkretni, napisali, że Pan Bóg uratował nawet bydło.

Julka pyta, czy może ze mną jechać do Gietrzwałdu.

„Opowieść mężczyzny, który zarabia, śpiąc”

© Jerzy Kędzierski 2013

wydanie drugie

ISBN 978-83-63110-09-3

*redakcja, korekta:*

Grażyna Jeżewska

*opracowanie graficzne:*

Jerzy Kędzierski, Marek Woś

*skład, łamanie:*

Marek Woś

*grafika na okładce:*

istock, Marek Woś

ROSEMARIA

Poznań 2013



Tę książkę zamówisz  
na stronie [www.rosemaria.pl](http://www.rosemaria.pl)



KUP W KSIĘGARNI